

Newsweek TEMAT Z OKŁADKI

MAJA OSTASZEWSKA: GEN WOJOWNICZKI

CO JESZCZE MOŻNA ZROBIĆ?

Wiele razy słyszała: „Majka, jesteś fajną aktorką, graj i nic nie mów”. Ale jak może nic nie mówić, gdy aktorstwo jej nie wystarcza i chciałaby zmieniać świat

TEKST JACEK TOMCZUK ZDJĘCIE JACEK POREMBA

Są dwie Maje. Jedna nieobliczalna, szalona, gotowa rzucić się w jakiś pomysł jako pierwsza z grupy, nie do zatrzymania – mówi reżyserka Małgorzata Szumowska. – Ale jest też druga, która ma w sobie coś z pilnej uczennicy. Kiedyś dzwonię do niej rano, a ona zmęczona. Do spektaklu dodała sobie naukę zakończeń nerwowych, bo akurat miała wziąć udział w kampanii społecznej na rzecz niesprzedawania żywych karpi. Jest zadaniowa i silna. Ma w sobie gen wojowniczeki, niezgodę na to, jak jest urządzony ten świat – opowiada.

Ostatnio chodziła po swoim Nowym Teatrze w Warszawie jako wolontariuszka i prosiła o podpisy pod akcją „Ratujmy kobiety”. Parę dni temu skończyła nagrywać film wzywający do zakazu hodowli zwierząt futerkowych i spoty w kampanii „16 dni akcji przeciw przemocy ze względu na płeć”.

– W obecnym klimacie wokół praw kobiet niewiele aktorek odważyłoby się przyjść z naręczem własnoręcznie zebranych podpisów – mówi Krystyna Kacpura z Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny.



Maja Ostaszewska na manifestacji KOD przed Sejmem przeciwko zmianom w sądownictwie. Na zdjęciu Magdalena Dobrzańska-Frasyniuk i Władysław Frasyniuk, Warszawa, lipiec 2017 r.



– W Polsce panuje schizofreniczny stosunek do aktorów – tłumaczy Maja Ostaszewska. – Z jednej strony idealizuje się nas, przypisuje nam właściwości bohaterów, których gramy. A z drugiej podważa się prawo do wyrażania swoich poglądów. Ileż razy słyszałam: „Majka, jesteś fajną aktorką, graj i nic nie mów”.

BUDDA Z BLOKU

– JEŚLI MIALABYM WSKAZAĆ JAKIŚ charakterystyczny zapach dzieciństwa z naszego domu, byłby to zapach kadzideł. Wtedy to było rzadkie. Tylko w domach związanych z sangą [wspólnotą – red.] buddyjską tak pachniało, w innych nie – wspomina Maja Ostaszewska.

Kraków, Osiedle XXX-lecia, mieszkanie na parterze bloku, żeby można było wyprowadzać znalezione na ulicy koty, psy. W środku zamiast starych szaf albo nowoczesnych meblościanek rzucone na podłogę materace, proste drewniane półki zrobione przez tatę i papierowe lampy mamy. W kuchni wielki stary stół stolarski.

– Minimalizm nie był buddyjski, lecz biedny, a i ich potrzeby znikome. Naród stał w kolejkach po mebelki i mięso, a oni – nie. Raczej zielona herbata niż pół litra – wspomina malarz, poeta i muzyk Tomasz Hołuj, przez lata przyjaciel rodziny.

Maja ma dwa lata, starsza siostra Tatiana – sześć. Rodzice mówią dziewczynkom, że dzisiaj przyjedzie do nich prawdziwa księżniczka. Wreszcie do mieszkania w dżinsach wkracza potomkini rodu Alighieri – czyli samego Dantego, tego od „Boskiej Komedii”. Za nią sunie młoda Kora Jackowska w zaawansowanej ciąży i purpurowej sukni.

– Pani jest prawdziwą królową?

– Oczywiście – poważnie odpowiada Kora. – Madagaskaru.

– Dzieciństwo miała kolorowe – śmieje się matka aktorki Małgorzata Ostaszewska. – Odwiedzali nas zaprzyjaźnieni buddyści, nauczyciele zen, regularnie bywał znajomy hipis z Bieszczad. Wpadał brudny, śmierdzący, wykapał się, pogadaliśmy i szedł dalej.

– To był dom inny od tych, jakie miały moje koleżanki – wspomina dzisiaj Maja Ostaszewska. Ale zdała sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy zaczęła chodzić do szkoły. Koleżanki szły do pierwszej komunii świętej, a ona na święto Narodziny Buddy. – Przychodzili ludzie z sangi, oblewaliśmy posąg Buddy herbatą, paliliśmy kadzidła, a dzieci dostawały prezenty. Masa pozytywnej energii.

– Ochrzciliśmy tylko najstarszą córkę ze względu na religijne przekonania jej prababci – mówi Małgorzata Ostaszewska. Ale nawet wtedy trudno było o atmosferę religijnej powagi. Chrzestnym został Tomasz Stańko, który przyszedł do kościoła ubrany w czerwoną marynarkę, białą koszulę w niebieskie kwiaty i różowe okulary, które przypominały teatralną lornetkę. Ksiądz wymachiwał do niego pięścią: tylko macie wychować dziecko po katolicku!

PUNK W PRZESIECE

KIEDY MIAŁA 10 LAT, RODZICE WYNIĘLI SIĘ na cztery lata do Przesieki, wsi w sercu Karkonoszy, gdzie polscy buddyści zaczęli wynajmować domy i założyli swój ośrodek.

Ostaszewscy dołączyli do nich w 1982 roku z czwórką dzieci. – Trudno praktykować buddyzm osobno, chodziło o to, żeby w stanie wojennym być razem – wspomina ojciec Mai, Jacek Ostaszewski.

Miejscowi mówili o nich „baptysty”.

– Dla dzieci to była sielanka. Piękne widoki, świerki, poniemiecka solidnie zbudowana wieś – wspomina psycholog i buddysta Wojciech Eichelberger. Maję zapamiętał jako śliczną dziewczynkę, która biegała po wiejskich podwórkach.

Ale ten bukoliczny obrazek to tylko pół prawdy. – Kiedy mama zostawała sama, bo tata wyjeżdżał na miesiąc albo dłużej, sama musiała ogarnąć dom i naszą czwórkę. A to była miejska dziewczyna. Wstawała o 4 rano, żeby napalić w piecu, sama piłowała drewno na podwórku, czym wzbudziła szacunek własnych dzieci i miejscowych mężczyzn – wspomina Maja.

Rodzice przyznają, że byli wówczas radykalni w swoim buddyzmie. – Codziennie o wpół do piątej rano szedłem do ośrodka na medytację. Medytowałem parę godzin. W domu pojawiła się dyscyplina wynikająca z praktyki. Dzieci obserwowały, jak można medytować i jak pracować – mówi Jacek Ostaszewski.

Maja do szkoły jeździła autobusem na przedmieścia Jeleniej Góry. Nosila się kolorowo, nie chodziła do kościoła na religię, trzymała raczej z dziećmi przyjaciół buddystów niż z tymi ze szkoły. – Była prześladowana przez inne dzieci. Przy akceptacji nauczycieli – mówi wprost Jacek Ostaszewski.

Któregoś razu jako początkująca punkowa postanowiła obciąć się na jeża. Pan od polskiego, u którego zawsze była prymuską, z pierwszej ławki przesadził ją do ostatniej, bo nie chciał na nią patrzeć. Inni uczniowie zrzucili ją ze schodów.

– Przyszedł tata i zrobił wtedy w szkole porządną awanturę – wspomina aktorka. – To było dla mnie ważne, dało mi poczucie bezpieczeństwa i prawo do indywidualizmu. Zrozumiałam, że mogę być inna od reszty. Gdyby tata nie zareagował, może pomyślałabym, że trzeba wstąpić do szeregu.

Kiedy miała 12 lat, pojechała z ojcem do Jeleniej Góry na film „Gandhi”. – Zobaczyłam, że odpowiedzią na agresję nie musi być przemoc – mówi aktorka. – Że trzeba działać, zmiany same nie przychodzą. A scenę, kiedy Gandhi siadał na drodze naprzeciwko wojska, a tłum za nim robił to samo, pamiętam do dzisiaj. Już wtedy dla mnie, małej dziewczynki, Gandhi stał się wzorem.

– Jest dzieckiem kontrkultury, autentycznej religijnej wolności, bo buddyści nie indoktrynują dzieci, dają im wolny wybór. Możliwość dokonywania wyborów zbudowała w niej odwagę, poczucie godności, nieustraszonego – mówi Wojciech Eichelberger. – To buddyjskie środowisko dało jej silne korzenie i naukę na przyszłość: myśl globalnie, działaj lokalnie i odczuwaj personalnie. Tak robi Maja.

Ona sama pytana po latach, co dał jej buddyzm, cytuje jedną z buddyjskich myśli: „Niebo i piekło jest między naszymi uszami”. – Od dziecka przypominano mi, że to my decydujemy, jak wygląda nasze życie.

CO SŁYCHAĆ U LOLKA?

– KLEPALIŚMY BIEDE – MÓWI JACEK OSTASZEWSKI o swoim dzieciństwie. Też późno się zorientował, że rodzinny dom jest inny. Mama była aktorką, ojciec rzeźbiarzem. Jego placem zabaw były garderoba teatralna mamy i pracownia rzeźbiarska ojca. Akty i nagość modeli były dla niego czymś naturalnym. Zdał sobie sprawę, że mogą kogoś ekscytować, kiedy w I klasie odwiedzili go koledzy.

Małgorzata i Jacek z dziećmi (od lewej): najmłodszą Matyldą, Jakubem, Tatianą i Mają, koniec lat 70.



– Ojciec po wojnie nie chciał rzeźbić Stalina czy Bieruta, więc w ogóle nie dostawał zleceń. Zarabiał jako konserwator rzeźb – mówi Ostaszewski. – A nam ciągle powtarzał, że nie może tworzyć, bo musi zajmować się rodziną, a artysta musi być wolny. Żyłem w poczuciu winy, że nie może rzeźbić przeze mnie. Całe moje dorosłe życie było próbą udowodnienia, że można połączyć te dwa światy: rodzinę i sztukę. I Maja, która bardzo szanowała dziadka, robi teraz to samo.

– Jeździłam do jego galerii pod Krakowem i mieszkłam tam w wakacje. Wyobrażałam sobie, że te rzeźby ożywają – wspomina. Dziadek był ascetą, chociaż pochodził z arystokratycznego domu. W ogóle o zamierzchłej genealogii, utraconych majątkach i tytułach niewiele się mówiło w domu. – Mieliliśmy jedną książkę o Adamie Ostaszewskim, takim cudownym szaleńcu, wynalazcy, który zaprojektował helikopter. Jeżeli rozmawialiśmy o historii, to o tej bliższej. O pradziadku Janie, który zginął w Katyniu, o dziadkach w AK...

Maja Ostaszewska nie poznała babci Krystyny, aktorki najpierw Teatru Rapsodycznego, a potem krakowskiego Starego. A jednak przez lata była do niej porównywana. Kiedy studiowała w szkole teatralnej, uczyli ją profesorowie, którzy znali babcię.

– Mówili, że jestem od niej podobna – śmieje się aktorka.

– Pamiętam, jak serdecznie wspominało się w naszym domu Lolka, czyli Karola Wojtyłę, z którym rodzice spotkali się w Teatrze Rapsodycznym – wspomina Jacek Ostaszewski. – Żartowano, że tak się wspaniale w teatrze zapowiadał, a wybrał Kościół. Karol Wojtyła był celebrazem na ślubie moich rodziców.

OSTATNI PROM DO POLSKI

ZACZYNAŁ OD JAZZU – GRAŁ ZE STAŃKĄ, KOMEDĄ, TRZASKOWSKIM, ALE trudno było z tego wyżyć. – Dołączyłem do grupy Anawa Marka Grechuty – wspomina Jacek Ostaszewski. – To był wtedy bardzo popularny zespół. Graliśmy dużo, miałem już rodzinę i musiałem ją utrzymać.

Na początku lat 70. zaczyna próbować z Markiem Jackowskim, wówczas gitarzystą grupy Anawa. Na jakiejś domowej imprezie słyszy ich Zygmunt Konieczny i poleca do Piwnicy pod Baranami. Wkrótce dołącza do nich Tomasz Hołuj. Tak powstaje Osjan. Ostaszewski porzuca jazzowy kontrabas na rzecz prostego fletu i muzyki medytacyjnej.

– Żeby wspólnie z rodzinami podróżować, zaangażowaliśmy z Markiem nasze żony, Korę i Małgosię, jako chórek do zespołu. Dzieci podrzucaliśmy garderobianym i wszyscy wychodziliśmy na scenę na kilka utworów. Potem mamy wracały do pilnowania dzieci, a my dalej graliśmy. Maja nieraz spała za sceną, kiedyś nawet w Jarocinie – opowiada.

To z mamą i starszą siostrą Maja pojechała pierwszy raz na Zachód. Był grudzień 1981 roku.

Maja Ostaszewska: – Kopenhaga, ja szczęśliwa, bo widzę kawałek świata. Ruchome schody, neony, można było dotykać zabawek w sklepie – wtedy u nas rzecz niewyobrażalna. I nagle mama zaczęła płakać; dotarła wiadomość, że w Polsce wprowadzono stan wojenny. Pamiętam zapłakaną mamę zwiedzającą ze mną gabinet figur woskowych Madame Tussaud. Duńscy znajomi zaproponowali, że możemy ze starszą siostrą zostać w Kopenhadze, ale rodzice zdecydowali, że wracamy; rodzina musi trzymać się razem – w Krakowie zostało młodsze rodzeństwo z dziadkami – wspomina Maja Ostaszewska. Zamyśla się: – Na promie smutna atmosfera, wszyscy Polacy śpiewali pieśni patriotyczne, płakali i pili. Czuło się jakąś wspólnotę, wracamy do kraju w potrzebie. Wtedy chyba pierwszy raz poczułam się patriotką.

Pod koniec lat 80. Ostaszewscy wracają z Przesieki do Krakowa, Jacek zaczyna komponować muzykę do spektakli Krystiana Lupy. – Po próbach i spektaklach całe to towarzystwo teatralne schodziło się do nas. Dyskusje trwały do rana. Bardzo mi to imponowało, że mając 16 lat, uczestniczyłam w życiu towarzyskim aktorów Starego Teatru, byłam na każdym spektaklu Lupy, chodziłam na przedstawienia Tadeusza Kantora. Ale miało to też swoje złe strony. Kompletnie odciąłam się od rówieśników. Wieczorami czułam się dorosła, a rano musiałam pójść do szkoły i być pokorną uczennicą. Pogubiłam się, nawet nie poszłam na studniówkę, wolałam jakiś spektakl.

To Lupę Maja poprosiła, żeby ją przesłuchał przed egzaminami wstępnymi do szkoły teatralnej. – Byłem zauroczony, coś

w tej dziewczynie płonęło – pamięta reżyser. – To była energia tkwiąca nie w ekspresji wypowiedzenia, tylko powiązana z myślą i wyobrażeniem, które ją wypełniało.

– Początkowo traktowaliśmy ją jako jeszcze jedno dziecko sławnych rodziców, które chce zostać aktorką – wspomina Jacek Poniedziałek, wówczas student w krakowskiej szkole teatralnej. – Ale szybko poradziła sobie z łatką młodej naiwnej dziewczynki. Była dla mnie przykładem, jak uporem i pracą można dojść do wspaniałych rzeczy.

W 1998 roku za rolę w „Przystani” Jana Hryniaka dostaje główną nagrodę aktorską na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Nie ma czasu jej odebrać, bo tego wieczoru ma premierę „Lunatyków” w reżyserii Krystiana Lupy w Starym Teatrze w Krakowie.

MAMA I MAJA W AKCJI

ROK 2000. MIĘDZYNARODOWY RUCH NA RZECZ ZWIERZĄT Viva! organizuje pierwsze spotkanie w Polsce. Do Sopotu na rozmowę z szefową organizacji Juliet Gellatley jadą między innymi poeta i bard Jacek Kleyff oraz Małgorzata i Jacek Ostaszewscy z synem Jakubem. Maja nie może, bo gra „Bzika tropikalnego” w reżyserii Grzegorza Jarzyny w Teatrze Rozmaitości.

– To mama zaraziła mnie miłością do zwierząt – opowiada aktorka. – Potrafiła jechać 20 kilometrów na godzinę, bo żaby skakały po drodze. Albo zatrzymywała się i czekaliśmy, aż przejdzie jeź. To, że nie jedliśmy mięsa, było dla mnie naturalne.

Jeszcze w latach 70. Jacek Ostaszewski przywiózł z Zachodu białego opla. – Byliśmy dumni, że mamy takiego ścigacza – śmieje się Ostaszewska. – Któregoś dnia mama podjechała pod dom tarpanem, taką ohydą półciężarówką. Płakaliśmy z bratem i kopaliśmy w samochód. Ale mama postawiła na swoim, wreszcie miała auto, do którego mieściły się wszystkie znalezione psy i koty.

Ona sama obrończynią zwierząt stała się już w latach 80. – Potrafiłam jeździć po wsiach i walczyć z gospodarzami. Kiedy dostawałam informację, że jakimś zwierzętom dzieje się krzywda, zgłaszałam to na milicję – opowiada. W latach 90. została wiceprezeską fundacji Zwierzę Nie Jest Rzeczą. – Miałam jakiś dokument, który do niczego mnie nie uprawniał, ale wchodziłam na bezczelnego do gospodarstwa, machałam kartką papieru i robiłam kontrolę. Zdarzało się, że zabierałam psa albo konia i trzeba było je ratować.

Pierwszą akcją Vivy! był protest przeciw warunkom, w jakich transportuje się konie z Polski do rzeźni, głównie do Włoch.

– Wtedy znalezienie znanej osoby, która wystąpiłaby z poparciem dla takiej akcji, było niemożliwe – opowiada Czarek Wyszyński z Vivy! – Wszyscy się bali, oprócz Mai.

Dzisiaj aktorka wciąż wspiera protest przeciwko hodowli zwierząt futerkowych, sprzedawaniu żywych karp, znęcaniu się nad zwierzętami w cyrkach, eksperymentom na zwierzętach, hodowli przemysłowej. Niby pomaga Vivie! w sumie około 50 celebrytów. Ale jak kiedyś fundacja robiła akcję o maciorach, które większość życia spędzają w kojcach, to wszyscy zakłopotani schowali głowę w piasek. Tylko nie ona.

Nie cierpi przemawiać na manifestacjach. Nie lubi tłumu. I – inaczej niż na scenie – na ulicy ma tremę. A mimo to występuje. – Wolelibyście mieć operację ze znieczuleniem czy bez? – pytała na manifestacji przeciwko ubojowi bez ogłuszania.

Mimo że jest bardzo zajęta, znajduje czas, żeby stanąć pod cyrkiem do protestu przeciw tresowaniu zwierząt. – Ostatnio było nas z 10 osób. Lało, a my staliśmy z ulotkami i próbowaliśmy tłumaczyć ludziom, co czują zwierzęta – wspomina Ostaszewska.

– To nie są miłe akcje, jest dużo agresji ze strony pracowników cyrku, wyzywania od leni, lewaków, ekoterrorystów – mówi Czarek Wyszyński.

AKTORSTWO TO ZA MAŁO

– HARUJE OD ŚWITU DO NOCY – MARTWI SIĘ MAMA. – Ale ma dystans do aktorstwa – śmieje się ojciec. Podoba mu się, że córka gra w bardzo dobrym teatrze, a jednocześnie nie ma problemu z serialem czy reklamą. Aktor – uważa – to zwyczajny zawód.

– Maja jest jedną z najciekawszych polskich aktorek, osiągnęła prawie wszystko. Ale nie egzaltuje się swoim kunsztem – mówi Małgorzata Szumowska, reżyserka „Body/Ciała”. – Aktorstwo jej nie wystarcza, ona chciałaby zmieniać świat. Czasami mam wrażenie, że bardziej ją wciąga pomaganie i sprawy społeczne niż granie.

Kiedy Krzysztof Warlikowski przygotowywał „(A)pollonię”, szukał roli dla Ostaszewskiej. W końcu zaproponował jej długi monolog profesor Elizabeth Costello z książki Johna Maxwella Coetzee, w którym porównuje zabijanie zwierząt do Holokaustu.

– Na początku budowaliśmy Costello jako postać trochę niewiedzoną, a to, co mówi, jako rodzaj „poetyckiej wizji”. Ale Maja



PYTANA, CO DAŁ JEJ
BUDDYZM, CYTUJE JEDNĄ
Z BUDDYJSKICH MYŚLI:
„NIEBO I PIEKŁO JEST
MIĘDZY NASZYM USZAMI”.
– OD DZIECKA
PRZYPOMINANO MI,
ŻE TO MY DECYDUJEMY,
JAK WYGLĄDA NASZE ŻYCIE

poczuła, że taka interpretacja osłabia przekaz – wspomina Piotr Gruszczyński z Nowego Teatru, w którym aktorka występuje od 10 lat. – Stworzyła tę postać na nowo, zrobiła z niej skrajną racjonalistkę, a wizję zamieniła w chłodny wywód. Jakby czuła, że w ten sposób wzmocni przekaz, który chciała, żeby poszedł w świat.

Po „(A)pollonii” dostawała listy od widzów, którzy po spektaklu zostali wegetarianami.

– Nie tylko widzowie – śmieje się Gruszczyński. – Zaczęło się od tego, że zapytała zespół, czy to wypada, żeby po takim spektaklu na premierowym bankiecie podawać mięso. Przegłosowaliśmy, że nie. Potem część z nas rzuciła mięso, a skończyło się na tym, że teatralna knajpa jest bezmięsna.

Cały czas angażuje się w pomoc kobietom, osobom LGBT (właśnie wspiera kampanię promującą Telefon Zaufania Lambdy), zwierzętom, wszystkim, którzy mają w tym świecie pod górkę. Czytała konstytucję przed pałacem prezydenckim i brała udział w demonstracjach KOD.

– Trudno się z nią spotkać w ciągu dnia – przyznaje Krystyna Kacpura z Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny. – Zdarza się, że ma czas dopiero po spektaklu w Nowym Teatrze. Siedzimy w nocy, a ona pyta, co jeszcze może zrobić.

– Mai jest wszędzie pełno i we wszystko angażuje się w równym stopniu całą sobą – mówi koleżanka z Nowego, aktorka Magda Cielecka. – Jak zabawa, to

do końca. Jak spektakl – tak samo. Czasem przychodzi skrajnie zmęczona do teatru i prawie płacze, że nie wie, jak zagra. Przedstawienie się zaczyna, coś nagle klika i ona jest na scenie na sto procent. To jej tajemnica, czym ona tę energię karmi.

– Maja, mimo zapracowania i masy obowiązków rodzinnych, zawsze zna imiona ludzi pracujących w otoczeniu filmu czy teatru – mówi Jacek Poniedziałek. – Zawstydziła mnie ostatnio, kiedy rozmawialiśmy o bileterach w Nowym Teatrze. Narzekaliśmy na jedną z dziewczyn, dość stanowczo reagującą na spóźnialskich widzów, co Maja skwitowała zdaniem, że na szczęście wraca do nas Helenka. Na moje pytanie, o którą chodzi, odpowiedziała: no jak to, nie znasz Helenki? **N**

WSPÓŁPRACA KAROL MARCZAK

jacek.tomczuk@newsweek.pl